

Australia - odcinek 5.  
Rain Forest - Deszczowy Las

Nadszedł kolejny piękny, ciepły i słoneczny poranek.



Jak zwykle zabiera mnie spod hotelu kolejny bus i inny przewodnik.



Wraz z innymi chętnymi dojeżdżamy do małej stacyjki kolejki wąskotorowej.



Ta kolejka ma prawie sto lat i jest dobrze zachowanym zabytkiem australijskiej komunikacji. Tym antycznym wehikułem pojedziemy około 1,5 godziny do Rain Forest.



Pociąg wznosi się po żelaznej drodze malowniczymi serpentykami ponad dolinami i licznymi wykutymi w skale tunelami. Jazda robi wrażenie. W wagonikach trzeszczy, stuka i jęczy, ale podążamy do przodu i w górę, wciąż w górę.

Torowisko jest tak wąskie, że momentami widzę przed sobą tylko metalowe zabezpieczenie i przepastną dolinę.



Na trasie są też odcinki łagodne. Wydaje się wtedy, że płyniemy po łące.



Rain Forest czyli Deszczowy Las. Taką nazwę mają te ogromne połacie tropikalnej gęstwiny, gdzie średnia opadów na metr kwadratowy jest największa na całym australijskim kontynencie.

Pociąg kilkakrotnie zatrzymuje się, cykamy zdjęcia i podziwiamy malowniczą panoramę wzgórz. Są pokryte różnorodnością drzew i krzewów. W zasięgu oczu mamy także piękne wodospady i górskie strumyki.



I już dotarliśmy do celu. Wsiadamy na najwyższym poziomie Rain Forestu, czyli w Kurandzie.



Kuranda to miejsce wyposażone w sklepiki z souvenirami ale przede wszystkim piękny zakątek przyrody. Po gęstym buszu trudno byłoby poruszać się, dlatego część terenu wykarczowano i zaadoptowano dla turystów.

Jesteśmy w regionalnym sklepie, gdzie aż roi się od instrumentów, na których grają Aborygeni. Nazywa się didgeridoo. Przytaszczyłam jeden do Polski:)





Pudelek sprawia wrażenie zasłuchanego w dźwięki wydobywane z tej bambusowej lub eukaliptusowej tuby. Brzmią one podobnie jak myśliwski róg.



W Kurandzie przewodnik zaplanował na zwiedzanie i spacer po okolicy kilka godzin. Indywidualnie lub w małych grupkach przyglądamy się otaczającej przyrodzie. Szlaki są tu dobrze oznakowane, więc spaceruję według mapki po ucywilizowanej gęstwinie, ale nie zapuszczam zbyt daleko w nieznany teren. Nie wiadomo co mnie może tu spotkać. Przewodnik wprawdzie dawał nam jakieś wskazówki i jak najlepsze rady, ale niewiele zrozumiałam.

Stąпам więc po ścieżkach ostrożnie, aby nie znaleźć się oko w oko z nieznanym mi stworzeniem, na dodatek nieprzewidywalnym w zachowaniu.

Pięknym zakątkiem w Kurandzie jest ogród Butterfly Garden. Zgromadzono tu tysiące wielobarwnych motyli. Siadają mi zuchwale na ramionach i włosach, oswojone, delikatne i lekkie jak płatki kwiatów.







Za metalową siatką i na wolności zobaczyłam niezwykle okazałe okazy fauny i flory. To zaledwie garstka, ale temu tematowi poświęcę więcej miejsca w innym odcinku. Papugę zaintrygował pasek od mojego aparatu. Oddawaj co moje:)



Spacerowałam po Deszczowym Lesie z mieszanymi uczuciami. Z jednej strony cieszyłam się, że jestem na drugim końcu świata w miarę bezpieczna, a z drugiej mimo wszystko czułam się tu obco i nieswojo. Jednak bariera językowa odgrywa duże znaczenie.

Po upływie przewidzianego na Kurandę czasu należało dotrzeć na niższe partie Rain Forestu, ponieważ następnym punktem programu było zwiedzanie wioski aborygeńskiej. Przewodnik umówił się z nami na dole obok wejścia na teren wioski. W kieszeni miałam bilet na kolejkę linową Skyrail, która miała mnie zwieźć na to miejsce. Najpierw jednak musiałam odszukać tę powrotną stację.

Wyobrażałam sobie duże kabiny turystyczne, podobne jak kolejka na naszym Kasprowym. Byłam w błędzie.

Czasem dobrze jest nie wiedzieć, co nas czeka. Człowiek jest wtedy odważniejszy. Gdyby miał świadomość czekających go przygód, pewnie niejednokrotnie by z nich zrezygnował.

Teren nie był duży więc w miarę szybko namierzyłam miejsce, skąd miałam odjechać.



Ja mam do tego czegoś, co przystaje tylko na kilka sekund wsiąść?



Wsiadanie do tych kabin kształtu orzecha następuje z prędkością przybijania stempli na naszej poczcie, przy założeniu, że praca jest na akord.

W tej maliźnie jest miejsce dla dwóch, może trzech osób, w zależności od masy ciała podróżnika. Nikt tu nikogo nie pyta o zdanie, czy ma cykora, czy nie. Albo wsiadasz albo ustępujesz miejsca następnej osobie.

Wahałam się dłuższą chwilę, kilka osób przepuściłam, ale nie miałam wyboru. Perspektywa koczowania tutaj nie bardzo mnie interesowała. Strach na plecach kpił sobie z mojej odwagi.

Starłam się myśleć logicznie: skoro inni jadą, to dlaczego akurat mnie miałyby się coś przytrafić?

W końcu zdecydowałam się na desperackie wejście do kolejki. Za mną do orzecha wskoczyły jeszcze dwie młode Niemki i natychmiast ruszyliśmy w drogę.



Oj, podziłam ja emocji w tym pudełku pełzającym wysoko, ponad głębokimi dolinami. Nie wiadomo było czy się bać, czy podziwiać widoki.

Na zdjęciach te wagoniki wyglądają niewinnie i bezpiecznie, ale kiedy widzisz pod sobą kilkadziesiąt metrów niezagospodarowanego powietrza, to czujesz, jak adrenalina podskakuje.

Podejmowanie mniej lub bardziej śmiałych decyzji w zależności od sytuacji sprawia, że człowiek staje się w przyszłości odważniejszy. Myślę, że właśnie w ten sposób człowiek uczy się być śmiały w swych wyborach.

Kolejka zatrzymuje się po drodze na kilku przystankach. Można wtedy wsiąść, pospacerować po okolicy, poszukać wyczytanych w Internecie gatunków roślin, a potem znowu wsiąść do następnej nadjeżdżającej wolnej skorupki i podróżować dalej. Ja tam wołałam nie wsiadać, ale tak zrobiły Niemki pozostawiając mnie samą na pastwę losu. Strach ma wielkie oczy.

W osamotnieniu jechałam jeszcze około kwadransa. Na szczęście było coraz pewniej, bo coraz niżej:) A widoki zapierające dech.





Cała szczęśliwa opuściłam kabinę i ochoczo, zadowolona z etapu, który udało mi się pokonać udałam się na umówione miejsce.

U podnóża Deszczowego lasu znajduje się etnograficzny teatr o nazwie Tjapukai.



Czeka tu na mnie wiele atrakcji.



Najpierw podczas pantomimicznego spektaklu poznają dzieje australijskiego lądu. Kto chce, zakłada na uszy słuchawki, przez które słyszy, jak są interpretowane poszczególne odstony. Masz do wyboru wersję angielską, niemiecką i japońską. Mnie urządziłaby polska:) Buszmeni, jak każda nacja, mają swoją historię i swoją prawdę o minionych latach. Mroczne to opowieści, okupione krwią wielu pomordowanych rodzin.

Po pantomimie mamy pokaz sceniczny. Przenosimy się do amfiteatralnej sali na aborygeńskie show. Narodowe tańce, obrzędy i pieśni prezentują nam rdzenni Aborygeni, a może tylko przebrani i ucharakteryzowani? Nieważne.







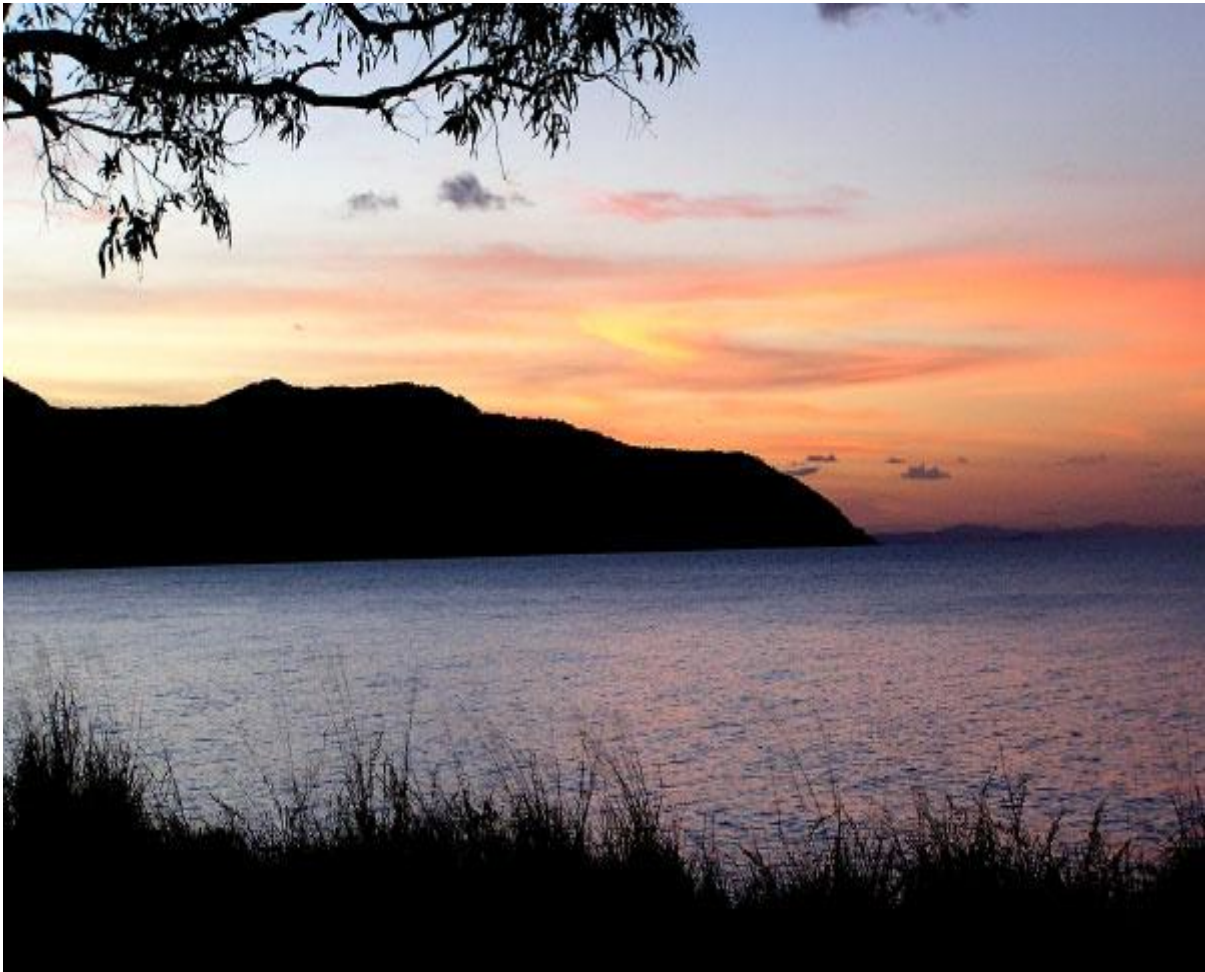
Po etnicznych występach i obrzędach tubylcy oprowadzają nas po wiosce i uczą postępowania się bronią swoich przodków - oszczepem i bumerangiem. Możemy również popробować sami. Bardzo to zabawnie wygląda w naszym wykonaniu. Polowanie na dzikiego zwierza przychodzi nam nieudolnie, pewnie w tamtych czasach chodzilibyśmy głodni, miejscowi radzą sobie świetnie. Bumerang za każdym razem ląduje u ich stóp, a nasz zaś gdzieś hen w krzakach. Potrenuję po powrocie do Polski.





O zachodzie słońca dziękujemy prawdziwym albo podrasowanym Aborygenom za dużą porcję egzotycznych wrażeń i atrakcyjne zajęcia.

Wracamy do Cairns.



Minął kolejny dzień mojej symbiozy z australijskim lądem. Prawie nieokiełznana natura Rain Forest zachowała ślady przeszłości i zapisała w mojej pamięci ciekawymi obrazami.

Jutro jedziemy do buszu. Zjem tam na rancho mam nadzieję dobre mięsiwo albo rybę z barbeque. Tak mam napisane w programie.

Do miłego następnego spotkania:)

Zielona Gałązka